

MAREK STELAR

Tani, nocny skład.
Pasażerowie o brudnych
sercach. I tajemnica,
która niemal zmusza do
dalszej lektury. Stelar umie
w doskonałą literaturę
popularną
– Łukasz Orbitowski



SEDNO

FILIA

M A R E K S T E L A R

S E D N O

FILIA

Epatowanie śmiercią czy to w formie wizualnej, czy jakiegokolwiek innej, wywołuje naturalną reakcję: przestrasz. Każdy w końcu boi się śmierci, choćby nawet twierdził coś wręcz przeciwnego. Ale epatowanie życiem zamiast śmiercią, może przynieść jeszcze gorsze skutki, bo życie potrafi być czasem o wiele gorsze niż śmierć.

A przecież życia nie boi się prawie nikt...

Mark D. Heath, „Mój koszmar”, 1924.

STACJA POCZĄTKOWA: SEBASTIAN KOLASIŃSKI

Brakuje mi powietrza. Chcę złapać się za szyję i zerwać z niej niewidzialną pętlę, która blokuje jego dopływ do płuc, ale wiem, że to bez sensu, bo nie ma żadnej pętli. Jest tylko w mojej głowie, co nie zmienia faktu, że działa tak, jak każda pętla na każdą szyję, na której jest zaciśnięta. Zabija. Powoli. Duszę się. Duszę się, choć nie fizycznie. Duszę się w głowie, która chce implodować. Ledwo stoję na nogach; są jak z waty, jak z miękkiej gliny. Drżą mi kolana i szcękam zębami, które dzwonią głucho niczym butelki w skrzynkach na pace dostawczaka jadącego po dziurawej, wyboistej drodze.

I ten właśnie widok pojawia się nagle pod mocno zaciśniętymi powiekami – skojarzone w przedziwny sposób z moim stanem wspomnienie sprzed trzydziestu lat: wakacje u wujostwa, połatany i usiany wyrwami asfalt przecinający dziurawą wstęgą podkoszalińską wieś, zdezelowany żuk, a pod plandeką skrzynki z piwem, dzwoniące jak moje zęby w tej chwili. Dostawa do lokalnego sklepu Gminnej Samopomocy, pod którym wuj z kolegami z PGR-u, jak zwykle po robocie, wyłłopie kilka browarów, a potem stłucze ciotkę. Ten dzień, którego wspomnienie wciska mi się pod powieki, spędziłem z chłopakami ze wsi, włócząc się po okolicy w pierwszej w swoim życiu męskiej wyprawie. Pierwszy papieros, łyk bimbru ze słoika, czarno-białe zdjęcie nagiej dziewczyny z ostatniej strony „Perspektyw”. To jeden z tych

dni, który zostaje w głowie w najdrobniejszych szczegółach, zostaje w niej nawet brzęk butelek z piwem. Tylko że tamtego dnia, tamtego fantastycznego dnia świeciło piękne słońce, było gorąco, a nad drogą unosił się pachnący żniwami kurz, który letni wiatr przywiewał z pól. A teraz wokół mnie jest zimno i ciemno, tak bardzo ciemno...

Czy to zapowiedź rychłej śmierci? Czy tak właśnie, kompletnie groteskowo i irracjonalnie, wygląda jej nadejście? Odległe wspomnienia z dzieciństwa przebiegające przed oczami jak film? Wspomnienie fantastycznego dnia, którego końcem była przyniesiona z pola wiadomość, że wuj zginął w wypadku i nigdy więcej nie wypije pod sklepem piwa ani nie pobije ciotki? Ale nie ma więcej wspomnień. Nic już nie widzę. Nic. Tylko słyszę. Słyszę to szczekanie swoich zębów, słyszę je uszami i przez usta również, w ten specyficzny sposób, tak jak słyszy się przez nie wypowiedane przez siebie słowa. I jest ciemno, tak bardzo ciemno... Nawet gdybym leżał we własnym grobie, nie byłoby tak ciemno, jak jest w tej chwili.

Jestem w grobie.

Teraz.

Nie mogę się ruszyć, coś trzyma mnie w tym odbierającym dech bezruchu, nie pozwala unieść ręki ani nogi, obrócić głowy. Otacza mnie ciemność tak gęsta, że można kroić ją nożem, drzeć palcami, drapać paznokciami, drapać dotąd, aż pojawi się pod nimi krew, a one same złamią się, a potem zejdu z palców. Można spróbować ją zerwać jak tę pętlę na szyi, która jest tylko w głowie. Można ją szarpać niczym czarny materiał rozdzierany na strzępy w szaleńczym odruchu paniki, lecz jego wątek i osnowa są tak ciasno ze sobą splecione, że szarpanie niczego nie daje. Niczego. Ta ciemność

i tak z powrotem splata się, szczelnie zaciska, spaja i wraca do poprzedniej postaci nieprzeniknionej, duszącej czerni. Jest miękka i plastyczna, jak zawartość bagna gdzieś w ustronnym miejscu gęstego lasu; zdradliwa breja ukryta pod dywanem suchych liści, która wciąga nieostrożne zwierzę, centymetr po centymetrze, bezlitośnie i nieubłagane, a potem, kiedy jego rozpaczliwy ryk ustaje powstrzymany falą błota wciskającą się do pyska, w ciszy zamyka się nad nim razem z dywanem z liści i nikt nie ma pojęcia, czy choćby nawet cienia podejrzenia, że coś tu się przed chwilą wydarzyło. Że wydarzyła się śmierć. Ale ja nawet nie próbuję tej ciemności rozszarpać, podrzeć czy choćby nadgryźć, bo przecież nie mogę się ruszyć. Przecież, do kurwy nędzy, nie jestem w stanie nawet drgnąć, przesunąć się choćby o jeden cholerny milimetr... Tylko serce trzepocze w piersi jak przestraszony kanarek uwięziony w ciasnej klatce.

Wiem, że to minie, że to chwilowe, że ostatnio mam dużo stresu. Boże, który nie istniejesz, co się ze mną dzieje?

Boję się...

Łapię spazmatycznie haust powietrza i otwieram oczy.

– Proszę pana, „Bogusław” miał katastrofę! Tylu ludzi zginęło! Tam było moje dziecko!

Mrozi mnie przez chwilę. Od środka. Dziwnie ubrana kobieta, która uczepiła się nagle rękawa mojej kurtki, z wymalowanym przerażeniem patrzy mi w twarz. Jest autentyczne – widzę to w jej oczach, słyszę je w rozpaczliwym łkaniu.

Stoję na jednym z peronów szczecińskiego dworca. Jest już noc i jest zimno, a ja marznę od środka i marzną mi uda oraz to, co jest między nimi, a co stało się niedawno moim

przekleństwem. Stoję i czekam na pociąg TLK „Bogusław XIV”, który zabierze mnie stąd i zawiezie do Warszawy Centralnej, skąd udam się do Urzędu Miasta Stołecznego Warszawy, a potem... Potem nie wiem, co będzie.

Czekam na pociąg, który nazywa się „Bogusław XIV”. Pociąg, który ma być dopiero podstawiony. Pociąg, który jeszcze nie wyruszył, żeby mnie tam zabrać. Tam, czyli nie wiem gdzie, ale przez stację Warszawa Centralna, gdzie go opuszczę, a potem Urząd Miasta Stołecznego Warszawy. Pociąg jeszcze nie wyruszył, a już uległ katastrofie, tak przynajmniej twierdzi dziwnie ubrana kobieta uczepiona rękawa mojej zbyt krótkiej puchowej kurtki. Kobieta wpatruje się we mnie błagalnie, jakbym mógł na to coś poradzić. Na to, że „Bogusław” miał katastrofę, i na to, że było w nim jej dziecko. Oczy staruszki błyszczą dziko jak u tego kanarka w klatce, błyszczą zza zasłony zlepionych w strąki siwych włosów, wijących się niczym węże na głowie Meduzy, wysmykujących się spod naciągniętego na uszy włóczkowego beretu. Jej oczy błyszczą przerażeniem, a ja mam pustkę w głowie. I zmarznęte uda oraz to, co jest między nimi.

– Sydonka, idźżeż, kobieto, wreszcie do domu, zostaw pana w spokoju.

W głosie przechodzącego obok sokisty słyszę rozbawienie. Przystaje koło nas razem z kolegą policjantem i przygląda się nam; wielki jak niedźwiedź, pogrubiony czarną, watowaną kurtką i kamizelką taktyczną. Na ramieniu zaczepiona nasobna krótkofalówka; czarne pudełko co kilka sekund wydaje z siebie cichy, elektroniczny szum, krótkie dźwięki i strzępy słów wypowiedziane beznamiętnymi głosami ludzi, którzy widzieli już wszystko. Zwiążle informacje,

komunikaty i polecenia wędrujące ponad ulicami i budynkami, zapisane w rozpuszczonych w zimnym, przesyconym zapachem tłustej sadzy powietrzu falach, na powrót zmienionych w tym małym czarnym pudełku w to, czym były, zanim wysłano je w eter. Skompresowanymi do minimum sygnałami ludzkich podłości, tragedii i zaniedbań kłębiących się w tkance miasta niczym robaki pod skórą trupa. U boku strażnika wisi tonfa, atrybut władzy, coś jak współczesna różga liktorska. A może raczej zbrojne ramię sprawiedliwości, wymierzanej pewnie nieraz złodziejaszkom na poczet przyszłej kary, kiedy papierologia związana ze zgłoszeniem wykroczenia nie jest tego warta. Policjant, też w kurtce, w takiej samej kamizelce i z taką samą tonfą, ale drobny i szczupły, wygląda przy sokiście jak dziecko albo treser przy swoim niedźwiedziu.

Stara kobieta puszcza mój rękaw, a wyraz przerażenia znika z jej twarzy jak zdmuchnięty. Zastępuje go służalczy i uniżony uśmiech ukazujący spróchniałe pieńki zębów. Po chwili zanosi się w głos chichotem czarownicy, wyrzuca z siebie strumień powietrza przerywany spazmatycznymi skurczami tchawicy, od dziesięcioleci drażnionej dymem najtańszych papierosów. Jej głowa trzęsie się, a spod beretu wypelza jeszcze kilka lepkich strąków o barwie zjełczałej śmietany. Czarownica umyka zgarbiona gdzieś w noc; gdzieś, gdzie nie dochodzą światła dworca. Drobi maleńkimi kroczkami, kłapiąc podeszwami rozczłapanych męskich butów bez sznurówek, włożonych na bose stopy, obejmując się wpół i wciąż zanosząc się opętańczym śmiechem. Poły cienkiego płaszczyka, w którym ja zamarzłbym chyba na śmierć, powiewają wokół krótkich nóg staruchy. I nagle pochłania ją

mrok. Jej sylwetka powoli rozmywa się w nim jak ostatnie kadry filmu ciemniejące na ekranie starego kina „Bałtyk”, które nie istnieje od dobrych piętnastu lat, a w którym oglądałem „E.T.”, „Gwiezdne wojny”, „Indianę Jonesa” i „Niekończącą się opowieść”.

I przychodzi mi nagle na myśl, że żadna z choćby najbardziej wymarzonych, wyuzdanych i tak naprawdę niepotrzebnych rzeczy, jakie kupiłem sobie jako dorosły, nie dała mi więcej autentycznej radości niż tamte chwile spędzane w kinie jako dzieciak. Ani saab, ani Bang & Olufsen czy Apple Watch nie były w stanie tego przebić. Zdaję sobie z tego sprawę dopiero teraz. W tej chwili. To jak olśnienie. Jak spóźniona myśl umierającego na raka starca, który widząc krzątającego się obok łóżka syna, żałuje nagle rozpaczliwie, że nie poświęcił mu kiedyś tyle czasu i uwagi, ile mógł. I kiedy syn wychodzi, wracając do swoich obowiązków, starzec wie, że choć jutro po południu znów przy nim będzie, to on teraz zostaje sam na sam z nocą za oknem i ciemnością w głowie, ciemnością bez wspomnień o wspólnych, szczęśliwych chwilach, którymi mógłby się karmić, by lepiej znieść nadchodzące nieubłagane noc i śmierć.

By lepiej przeżyć tę nędzną resztkę życia, która mu została.

Pomyliłem się co do tej kobiety, która rozplynęła się w ciemności, znikając w niej tak, jak moje szczęśliwe dzieciństwo zniknęło we mgle niepamięci, wymazane zdarzeniami, które też chciałbym tam wysłać. Pomyliłem się... Wiem to już. Zresztą nie pierwszy raz się pomyliłem, oceniając czyjeś uczucia i odbierając je jako prawdziwe. Albo nieprawdziwe. Na jedno wychodzi: pomyliłem się, tak czy siak, choć tym razem nic mnie to nie kosztuje, jak wiele razy ostatnio.

– Pan się nie przejmuj – mówi przebrany za sokistę niedźwiedź. – To lokalna wariatka, niegroźna. Mieszka tu niedaleko, przesiaduje na dworcu godzinami. Pan tylko na wszelki wypadek sprawdzi, czy portfel jest na miejscu.

Sprawdzam. Portfel jest na miejscu. Tkwi w wewnętrznej kieszeni kurtki, puchowej, leciutkiej kurtki grzejącej plecy, tors i ramiona, lecz zbyt krótkiej, by objąć ciepłem wszystko to, co poniżej pasa. Gdyby była dłuższa i sięgała do pól uda, byłaby obciachowa i niemodna, ale nie trząsłbym się teraz jak gówno w przerębli, nie mogąc się doczekać, aż podstawią wreszcie tego cholernego „Bogusława” i będę mógł schronić się w jego środku, ciepłym niczym wilgotne wnętrze kobiety przyjmujące w siebie drżące z niecierpliwości męskie przyrodzenie. To dziwne skojarzenie, nie do końca adekwatne i nie na miejscu, ale przyzwyczailem się już, że mieszam je w najmniej odpowiednich momentach swojego życia. Tylko że ja nie drżę teraz z niecierpliwości. Drżę z zimna, niewyspania, poczucia winy i klęski.

Przypominam sobie, że nie przełożyłem do portfela dowodu osobistego – został za okładką dowodu rejestracyjnego mojego auta, który z kolei zostawiłem w domu, bo nie był mi przecież potrzebny. Dowód osobisty właściwie też nie. Ważne, że jest portfel, a w nim resztką pieniędzy i karta kredytowa obciążona już debetem. A także bilet, bilet na pociąg TLK „Bogusław XIV” relacji Szczecin Główny – Warszawa Wschodnia, wagon czwarty, bezprzedziałowy, miejsce czterdzieści cztery, niestety nie od okna, a od strony przejścia. Muszę jechać do tej cholernej Warszawy. Akurat teraz, zaraz. Muszę być w jej wielkomiejskich wnętrznościach jutro rano, o dziewiątej. Mimo to mam wrażenie, i to wrażenie

graniczące z pewnością, że jadę tam niepotrzebnie. Że nic nie wskóram. Że nie dostanę już szansy...

Nazywam się Sebastian Kolasiński. Jestem architektem. Jestem dość znanym, a właściwie uznanym architektem. Nagradzanym architektem. Ambasadorem swojego miasta, które miastem jest tylko z nazwy. Jestem wschodzącą gwiazdą polskiej architektury. A może nawet nie wschodzącą – ja już błyszcze na firmamencie, błyszcze od kilku lat, jestem jej cudownym dzieckiem. „Inżynier z przypadku, artysta z powołania”, tak pogardliwie mówią o architektach, ale to nie ja. Ja jestem naprawdę inżynierem, razem z architekturą studiowałem równolegle budownictwo; wiem, jak pracuje konstrukcja, czuję ją, nie zgaduję, ja to intuicyjnie i rozumowo równocześnie wiem. I potrafię ją obliczyć. Ale jestem też artystą, nie patrzę na budynek wyłącznie jak inżynier: zespół ścian i stropów, przegród o danych właściwościach fizycznych. Czuję kształty i płaszczyzny, czuję, jak płyną, jak się przenikają, jak stają wobec siebie w kontraście i jak wzajemnie się uzupełniają. Kształtuję przestrzeń dla psychicznych i fizycznych potrzeb ludzi, jej użytkowników. Jestem architektem niemal idealnym. W wieku czterdziestu czterech lat osiągnąłem już w tym zawodzie tyle, że grzechem byłoby chcieć więcej, ale jeszcze większym grzechem byłoby na tym poprzestać. Jestem też znakomitym przykładem człowieka, którego najprawdopodobniej przerósł własny sukces. Który uwierzył, że może niemal wszystko. Jak wielu. A potem upadł, jak wielu upadło.

Nazywam się Sebastian Kolasiński, jestem architektem i jestem skończony.

Pociąg wreszcie podjeżdża. Wjeżdża tyłem, lokomotywa manewrowa wpycha go na dworzec, a nie ciągnie za sobą,

dlatego z mojego punktu widzenia wygląda to dość groteskowo: jakby ktoś czegoś zapomniał. Kiedy pociąg nieruchomieje, rzesza zgromadzonych na peronie ludzi przypuszcza szturm. Dwadzieścia pięć minut do odjazdu. Pełna rezerwa-
cja miejsc. A oni biegną do drzwi, jakby od tego zależało ich życie, brakuje tylko, żeby z dworcowych megafonów rozległ się *Run to the hills* Iron Maiden.

Run to the hills, run for your lives...

Nie spieszę się, a przynajmniej nie zamierzam, ale nerwowy pośpiech ludzi mimo wszystko działa na mnie pobudzająco i mobilizująco. Znajduję swój wagon, wchodzę do środka i objając się łokciami o oparcia siedzeń, przypatruję się małym tabliczkom z liczbami w poszukiwaniu miejsca, które na kilka następnych godzin ma stać się moim miejscem. Kiedy wreszcie je odnajduję, nadzieja na spędzenie nocy we względnie spokojnym przystanku przyskakuje jak ostatnio wszystko w moim życiu.

Jeszcze stojąc na peronie, łudziłem się, że ktoś, kto wykupił miejsce obok mnie, czy raczej ktoś, obok którego ja wykupiłem miejsce, nie przyjdzie. Nie zdąży, zaśnie, zapomni, zabiją go, cokolwiek – ale nie przyjdzie. Zrobi mi tę przyjemność i po prostu się nie zjawi. Ale ten ktoś zjawił się; zjawił się na długo przede mną, w dodatku wygląda, jakby siedział tu od kilku godzin: zadomowiony, rozparty, rozebrany z kurtki, z nogami na podnóżku i z gazetką w ręku. Ulizane włosy, grzeczny z wyglądu, jasna koszula pod sweterkiem w serek, brązowe spodnie z kantem. Jak on to zrobił, skoro pociąg nie przyjechał ze Świnoujścia? „Bogusław” startuje ze Szczecina, skład przyjeżdża ze Wzgórza Hetmańskiego pusty i wypełnia się ludźmi dopiero tu, na Głównym. Może to mieszkający

na Pomorzanach pracownik PKP, który skorzystał z okazji i po znajomości wsiadł w wagonowni, zamiast tłuc się do centrum tramwajem?

Rozglądam się i stwierdzam, że człowiek zajmujący siedzenie pod oknem nie jest jedyny, a ja mam chyba coś nie tak z refleksem. To prawda, odwykłem od przepychania się w drzwiach pociągu, od gonitw po dworcu, zajmowania *pole position* na krawędzi peronu i wrzucania walizek przez okno do przedziału. Te czasy minęły razem z erą Jarocina i minęły, odkąd zaczęła obowiązywać ta nieszczęsna rezerwacja, a ja zacząłem latać samolotami. Te czasy minęły, ale oto znów muszę jechać pociągiem, w dodatku tłuc się, kurwa, całą noc na niewygodnym siedzeniu, zamiast wziąć chociaż kuszetkę czy sypialny.

Siadam, starając się nie dotknąć sąsiada, i stwierdzam, że muszę iść do toalety. Nerwy robią swoje, mam tak od dziecka. Wizyta u dentysty, egzamin, występ w szkole, każde takie wydarzenie powoduje u mnie przyśpieszoną produkcję moczu. W dodatku ile bym nie wysikał, i tak zaraz chce mi się znowu. A od jakiegoś czasu jest to u mnie stan permanentny.

Postanawiam, że zanim pójde do WC, odsapnę chwilę i się uspokoję. Chociaż odrobinę. Zamykam powieki i odcinam się od świata zewnętrznego, choć na moment. Taką mam intencję. Chcę stracić z oczu wszystko: kształty i światło, kolory i fakturę materiałów; wizualny odpowiednik kafeofonii, rażącej umysł nie przez uszy, a poprzez oczy. Chcę przez jakiś czas odpocząć od tych wszystkich bodźców gwałcących mój mózg, chcę zostać sam na sam ze swoimi myślami, które są równie ciemne jak obraz pod szczelnie zamkniętymi powiekami. Kiedy je mrużę, zaciskają się mocniej

i obraz jest jeszcze ciemniejszy. Dobrze. Ciemno. Ciemno, ale w ten bezpieczny sposób, w pełni kontrolowany, bo jestem świadomy, że wystarczy otworzyć oczy, by wróciły kolory i światło. Pozwalam otoczyć się tej bezpiecznej ciemności, pozwalam jej się objąć jak materiałem hamaka, by odpoczywać w niej kilkanaście sekund i zebrać siły do dalszej egzystencji w świecie określonym światłem, cieniem, kształtami i barwami.

Ale to nie działa. Nie do końca. Nie tym razem.

Słyszę prowadzone przyciszonymi głosami rozmowy. Słyszę dzwonienie czyjś telefonu. Słyszę „ping” nadchodzącej wiadomości Messengera. Kaszlnięcie. „Czy może mi pan pomóc z torbą?” Ping. Szuranie walizki po podłodze. Ping, ping, pokasływanie, ping, „Tak, mam, jestem już w po-ciągu”, ping, PING, kurwa, srrring!!!

Czy ci wszyscy ludzie nie mogliby choć przez chwilę, jedną, krótką chwilę, posiedzieć w pierdolonej ciszy?!

Czy pierdolona cisza jest jak zen – nieosiągalna dla przeciętnego zjadacza parówek?!

Czy oni wszyscy boją się tej ciszy, tak jak można się bać wysokości czy ciemności?! Placidofobia: nowa choroba cywilizacyjna, jak nadciśnienie, Hashimoto czy cukrzyca?

Otwieram oczy. Mocno wbity plecami w oparcie ściskam podłokietniki fotela, głęboko oddycham, nabierając w płuca kilka gwałtownych haustów powietrza. Chryste, jestem kłębkim nerwów!

Wracam ze swojej bezpiecznej ciemności do świata bodźców wizualnych, do świata barw, światła i cienia. Ten powrót jest jak kac, jak zjazd po amfie. Niweczy zakładany, a nawet osiągnięty efekt działania alkoholu czy stymulantu.

– Witamy w TLK – mówi człowiek z „Newsweekiem”.
– Miałem lecieć samolotem, ale już nie było biletów – rzucam zdawkowo, wpatrując się w oparcie fotela przede mną.

Oczka siatki na gazety wbijają się w moje fotoreceptory zielonymi rombami, a w moim głosie pobrzmiwają nuty skargi.

Nawet nieźle wychodzi mi ta skarga. Ale prawda jest inna. Prawda jest prozaiczna. I wstydliva. Bilety pewnie były, za to nie było pieniędzy. Prawda jest taka, że muszę oszczędzać na wszystkim. Każdą złotówkę, ba: każdy grosz oglądam z obu stron, zastanawiając się, czy mogę go wydać lepiej i sensowniej.

Rozluźniam się. Znów zamykam oczy i zaczynam spokojniej oddychać, starając się odciąć swój umysł od szumu rozmów i innych dźwięków. Zapaść, jeśli nie w drzemkę, to przynajmniej w swoisty letarg. Stwierdzam, że to trudne.

Stwierdzam, że to niewykonalne.

– Zawsze wybieram miejsce tyłem w wagonach bezprzeziałowych – chwali się ktoś kilka miejsc dalej, a jego głos brzęczy w mojej głowie jak natrętny owad, który nie potrafi albo nie chce wylecieć przez otwarte okno. – Jak nie trafię, to się z kimś zamieniam i raczej nie mam z tym problemu, bo niewiele osób lubi jeździć tyłem do kierunku jazdy. A dlaczego to robię? Bo jakby co, jest bezpieczniej, co nie? Jak walniemy w pociąg z naprzeciwka, to nie lecę na ścianę albo fotel przed sobą... Gdybym jechał przodem, to zostałaby ze mnie miazga, kolego, miazga! A tak...

Zastanawiam się, czy ten człowiek słyszał o kimś takim jak Newton i czy zdaje sobie sprawę, że przy zderzeniu

z prędkością stu dwudziestu kilometrów na godzinę plus prędkość pociągu z naprzeciwka oparcie za plecami go nie uratuje? – Mój sąsiad odkłada „Newsweek” na blacik odchylany z oparcia fotela i spogląda na mnie, marszcząc rzadkie brwi. – Czy wie, że nawet jeśli to oparcie zatrzyma jego ciało w miejscu, to jego narządy wewnętrzne wciąż poruszają się te sto na godzinę i hamują dopiero na szkielecie, mięśniach i sobie samych, często miażdżąc się wzajemnie albo przynajmniej poważnie uszkadzając? Że mózg w tej jego ciasnej głowie, mimo że wypełnia ją ściśle, to jednak pływa w niej sobie, ma konsystencję galaretki i podlega takim samym prawom jak wątroba, śledziona i nerki, czyli ścisła sam siebie i zatrzymuje się na kościach czaszki, więc często w takich wypadkach kończy się wstrząsem lub śmiertelnie niebezpiecznym obrzękiem i wgłobieniem?

Ma miły głos. Swoje rewelacje wypowiada nieco rozbawionym tonem, a wyraz oczu potwierdza to. Jest lekko rozbawiony. Przyglądam mu się, skoro już mam spędzić całą noc w jego towarzystwie. Jest nieco starszy ode mnie, a może tylko wygląda na starszego. Zachowawcza fryzura z misternie ułożonych i przetkanych siwizną włosów zapewne jeszcze bardziej postarza go wizualnie, więc kto wie, może nawet jesteśmy równolatkami? Ma twarz, na którą nikt nie zwróciłby uwagi w tłumie: nie wyróżnia się niczym, jest przeciętna, ani ładna, ani brzydka, po prostu zwyczajna. Setki takich twarzy widzi się codziennie, zapominając o nich tuż po tym, jak straci się je z oczu. Uwagę zwracają dwie rzeczy. Jedną z nich są właśnie oczy. Inteligentne, patrzące bystro spod brwi, a zieleń ich tęczówek jest chyba jedyną interesującą rzeczą w tej twarzy. Kolorem przypominają oczy

**Kto jest bez winy, niechaj pierwszy rzuci kamień.
Odważysz się?**

Nocna podróż pociągiem zmienia się dla znanego architekta w drogę ku końcowi – kariery, życia, wszystkiego, co dotąd znał. Nieudany kontrakt to dopiero początek. On i jego towarzysze – dramaturg, aktor, księgowy, budowlaniec, kibol, piękna nieznajoma – wszyscy skrywają grzechy, które nie chcą pozostać w cieniu.

W tej osobliwej podróży poza czasem i przestrzenią prawda zaczyna sączyć się jak trucizna, a ktoś lub coś wystawia ich na próbę, którą nie każdy przetrwa.

Mroczna opowieść o winie, której nie da się zmyć, i grzechu, który nie zna przebaczenia.

FILIA

Mroczna

cena 49,90 zł

ISBN 978-83-8402-429-4



9 788384 024294